

Everest. Góra Gór

MONIKA WITKOWSKA



Bezdroża

Tekst i zdjęcia: Monika Witkowska

Redaktor prowadzący: Agnieszka Krawczyk

Redakcja: Sandra Trela

Projekt graficzny: Dawid Kwoka

Projekt okładki: ULABUKA

Skład: DAKA - Studio Graficzne

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli. Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl,

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bevere>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-246-8510-3

Copyright © Monika Witkowska, 2013

Copyright © Helion, 2013

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę
- Księgarnia internetowa
- Lubię to!
Nasza społeczność

EVEREST GÓRA GÓR

Kup książkę



Poleć książkę

TREKKING DO BAZY

10 kwietnia,
około południa,
7 dzień wyprawy.
W Lukli (2840 m)

Hurra! Udało się wylecieć z Katmandu! Dotarliśmy do Lukli! Teraz jeszcze trzeba będzie przypilnować załadowania betów na jaki, no i możemy ruszać.

To świetnie, że ruszyliśmy! Kiedy o szóstej rano zameldowaliśmy się na lotnisku, loty do Lukli wciąż były wstrzymane. Dwie godziny później w tłumie zebranych gruchnęła radosna wieść, że pogoda w górach się poprawiła. Kwadrans później siedzieliśmy w trzęsącej się, mocno zweteranionej maszynie i lecieliśmy w stronę Wielkich Himalajów.

Z Katmandu do Lukli jest tylko sto czterdzieści kilometrów, co oznacza dwadzieścia minut niezapomnianego lotu. I nie chodzi bynajmniej o te mocno wątpliwe samoloty, równie wątpliwych linii zwanych

potocznie „maybe air”, czyli „może doleć, może nie”. Sama trasa jest emocjonująca, bo samolot leci bardzo nisko nad górami i wydaje się, że zaraz w jakąś z nich uderzy albo zahaczy podwoziem o drzewa. Apogeum to lądowanie, bo posadzić maszynę na lotnisku w Lukli jest nie lada sztuką. Pozostaje mieć nadzieję, że nasz pilot nie robi tego pierwszy raz i że zdąży, zanim po raz kolejny w tym dniu zmieni się pogoda.

Tak czy owak nareszcie inny świat. Siedzimy sobie w lokalnej knajpce i ciesząc się z przygrzewającego słońeczka, gapimy się na ośnieżone szczyty. Stosunkowo niewielkie – mają raptem cztery–pięć tysięcy metrów. Te naprawdę wysokie objawiają się nam dopiero za kilka dni.

Lubię atmosferę Lukli – to taka prawdziwa „brama do Himalajów”. Właściwie cała wioska to lotnisko i odchodząca od niego główna ulica, o ile można tak nazwać brukowany trakt, po którym nie jeżdżą samochody (bo ich tu nie ma), za to niespiesznie suną karawany obciążonych jaków (niosą nie tylko ekwipunek trekkerów, ale przede wszystkim zaopatrzenie do wyżej położonych wiossek). Główna ulica jest w sumie... jedyną ulicą! Jej obie strony obstawione są sklepami (przeważają te ze sprzętem turystycznym) i prowadzonymi przez całe rodziny hotelikami (funkcjonuje tu nazwa lodge lub tea-house) oraz knajpkami.





Lotnisko w Lukli działa tylko przy dobrej pogodzie.

Knajpki są najlepszym świadectwem, jak Lukla się zmienia. Byłam tu kilka razy, ostatni raz dwa lata temu, ale wtedy było bardziej „lokalnie”. A teraz? Powstały na przykład Irish Pub (piwo za dziesięć dolarów! – jak na Nepal kwota astronomiczna), German Bakery (ale oferowane ciastka wbrew nazwie nie są wcale niemieckie), oryginalny, amerykański Starbucks czy też podrabiany pub Hard Rock Cafe (na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał zarzucić podszywanie się pod znaną sieć, literka „k” może od biedy uchodzić za „h”). Nie jest to jednak taka zupełnie żywiołowa globalizacja – są też przykłady, że można wzorować się na Zachodzie (głównie Ameryce), ale też podkreślać własną tożsamość kulturową. W związku z tym można na przykład pójść do YakDonalds’a i zjeść Everest Burgera. Poza tym prawie wszędzie reklamy obiecują darmowy internet. Biznes się kręci, bo przynajmniej o tej porze



Główna ulica „metropolii” zwanej Luklą.

roku turystów nie brakuje. Łatwo odróżnić tych, którzy dopiero przylecieli, od tych, co właśnie zeszli z gór. Pierwsi – czyści, pachnący, zwykle trochę bladzi, drudzy – ubłoceni, co tu kryć, często niedomcy, ogorzali od słońca i wiatru. Wszyscy szczęśliwi – pierwsi, że wreszcie wyruszają w wymarzone góry, drudzy, że wracają już do upragnionej cywilizacji.

Oczywiście każdy się nawzajem pozdrawia. Nie ważne kto z jakiego kraju przybył, tu jest Nepal, więc obowiązuje powitanie nepalskie:

– *Namaste!* – słycać niemal co chwila, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „pokłon tobie”. Nepalczycy wymawiają to magiczne pozdrowienie bardzo śpiewnie, przedłużając ostatnią sylabę. Chyba nie ma turysty odwiedzającego Nepal, który nie nauczyłby się tego sympatycznego, a zarazem użytecznego słówka.

10 kwietnia,
wieczorem.
W Phakding
(2610 m)

Pierwszy wieczór w górach

Przed chwilą dostałam SMS-a od Ani Czerwińskiej (jedna z najślynniejszych polskich himalaistek). Napisała, że odwiedzi mnie dzisiaj w moim hotelu w Katmandu – wpadnie na pogaduchy. Szkoda, żeśmy się tak minęły!

A my tymczasem już w Phakding. Miejscowi wymawiają tę nazwę jak „pakding”, Amerykanie – „fak-ding”.

Dzisiaj mieliśmy tylko dwie godziny trekkingu, więc wszyscy byli w świetnej formie i dobrych humorach. Udało nam się zdążyć przed deszczem, w odróżnieniu od jaków z bagażami (torby ubłocone jak diabli). Swoją drogą bagaże mamy niekompletne – znowu brakuje mi jednej torby. Okazało się, że nasz samolot był przepelniony i nie wszystko się zmieściło, więc pozostałe bagaże upchano do innych lotów. Tyle że po wpół do dwunastej pogoda znowu się zepsuła i już żaden samolot do Lukli nie przyleciał. W najgorszym razie nasze torby zobaczymy dopiero w bazie. W podobnej jak ja sytuacji jest większość z nas – Scott, z którym podczas trekkingu mieszkam, też nie ma drugiej torby, umówiliśmy się więc, że wymieniamy się tym, co mamy (oprócz bielizny, rzecz jasna).

Wiele osób nie do końca rozumie, kim są Szerpowie. Szerpa to nie zawód, ale jedna z około stu nepalskich grup etnicznych. Inna sprawa, że od everestowej bazy w górę to akurat Szerpowie zmonopolizowali rynek w charakterze przewodników, tragarzy czy kucharzy, oni też zakładają liny poręczowe służące do asekuracji wspinaczy. Są naprawdę silni, a pomagają im w tym wyjątkowe predyspozycje do wysokogórskiej aklimatyzacji.

Nazwa „Szerpa” pochodzi z języka tybetańskiego, a w dosłownym tłumaczeniu oznacza „ludzi ze wschodu” (*shar* to „wschód”, *pa* – „ludzie”). Źródłostów jest jak najbardziej uzasadniony, ponieważ protoplastami tego ludu byli mieszkańcy położonego w granicach dzisiejszych Chin regionu Kham, znajdującego się na wschód od centralnego Tybetu.

Nie wiadomo, kiedy Szerpowie zasiedlili położoną w okolicy Everestu Dolinę Khumbu, docierając do

niej przez himalajskie przełęcze z Tybetu. Według jednej wersji trzysta–czterysta lat temu (przyczyną był ponoć konflikt religijny na terenie Tybetu), według innej – sześćset. W Nepalu żyje obecnie około stu pięćdziesięciu tysięcy Szerpów, z czego blisko cztery tysiące w Dolinie Khumbu, gdzie najwyżej położone wioski sięgają 5000 metrów. Szerpowie mówią oczywiście po nepalsku, wielu z nich także po angielsku, ale między sobą posługują się własnym językiem należącym do grupy języków tybetańskich. Zdecydowana większość z nich (93%) to buddyści, choć są i tacy, głównie mieszkańcy Katmandu, którzy podają się za hinduistów (6,2%). Inna sprawa, że nawet ci, którzy są bardzo religijnymi buddystami, wierzą jeszcze w różne swoje bóstwa i demony zamieszkujące góry, jaskinie czy lasy.



▮ Młode Szerpanki w regionalnych strojach.



▮ Szerpowie przygotowujący się do tradycyjnego tańca.



■ Nie tylko panowie Szeperowie pracują jako tragarze. Kobiety także!

Z dzisiejszych obserwacji muszę przyznać, że ciągle jestem w szoku, jak szybko zmieniają się tutejsze wioski. Coraz trudniej znaleźć tradycyjne chałupy z drewna czy kamieni – zastąpiły je solidne konstrukcje służące na ogół jako hotele. Widać,

że biznes turystyczny kwitnie, tak więc miejscowym całkiem nieźle się powodzi. W dodatku większość z nich (mowa o lokalsach prowadzących hoteliki) ma też drugie mieszkania w Katmandu, gdzie przenoszą się poza sezonem, zimą lub w czasie monsunu. Niektórzy, kiedy już się trochę dorobią, wyjeżdżają jeszcze dalej.

– Chcesz pogadać z prawdziwym Szeperą, jedź do USA. – usłyszałam.

Tylko w Nowym Jorku oficjalne statystyki wymieniają dwa i pół tysiąca mieszkających tam Szeperów.

Ojczyznę Szeperów jest Dolina Khumbu, czyli okolice Everestu. Ale nie każdy, kto tutaj mieszka czy pracuje jest Szeperą. Większość tragarzy, których spotykamy poniżej Everest Base Campu to przedstawiciele innych, uboższych nepalskich plemion. Szeperowie, owszem, wciąż jeszcze noszą bagaże, ale raczej w wyższych partiach gór jako dobrze opłacani tak zwani tragarze wysokościowi.

Jesteśmy już po kolacji – nasz wyprawowy kucharz ugotował pyszną zupę grzybową, do tego *dal bhat* (soczewica z ryżem – narodowa potrawa nepalska), a na deser zaserwował jeszcze banany w cieście naleśnikowym.

Dziś warunki noclegowe mamy świetne, bo mieszkamy w lodge’u, dwuosobowych pokojach o standardzie schroniska z toaletą na końcu korytarza. Od jutra będą już namioty. Mam nadzieję, że nie złapię żadnych pluskiew, jak na trekkingu dwa lata temu. Nie dość, że mnie złośliwa bestia pogryzła, to jeszcze wlaźła do śpiwora (bo ciepło) i jako pasażerka na gapę gnębiła mnie przez kolejnych kilka nocy. Pozbyłam się jej dopiero, kiedy rozeżłona towarzystwem wytrzepałam solidnie śpiwór, zapewne skazując krwiopiczynie na śmierć z wychłodzenia (na 4000 metrów).

Mosty, jaki i ból głowy

Dziś mieliśmy całkiem długi dzień – wyszło siedem godzin trekkingu. Fakt, wlekiśmy się strasznie, przynajmniej ta część grupy, z którą wędrowałam. Wciąż ktoś albo zdejmował polar, albo go zakładał, a najczęściej robił zdjęcia. Teraz w Himalajach jest szczególnie urokliwie, bo kwitną rododendrony. I nie są to tylko krzaki, takie jak w Europie, ale wielkie, kilkumetrowe drzewa, tworzące obsypane różowym kwieciem lasy.

Trudno nie robić zdjęć, kiedy się ma takie widoki i niesamowite wiszące mosty. Taka konstrukcja umocowana jest zwykle wysoko nad korytem rzeki, czasem

11 kwietnia,
8 dzień wyprawy.
Z Phakding
(2610 m) do
Namche Bazar
(3500 m)



Ekologiczna dostawa towarów do wyżej położonych wiosek.

trochę się buja, co niektórym zapewnia dreszczyk emocji, a często są jeszcze dodatkowe atrakcje typu idąca nam naprzeciw karawana jaków. Problem w tym, że mosty są bardzo wąskie i ludzie jeszcze się miną, ale z objuczonym jakim lepiej nie próbować. Zresztą w ogóle jakom i noszącym ładunki tragarzom należy ustępować.

Dzisiaj mieliśmy pierwszą szansę na zobaczenie Everestu odległego w linii prostej o jakieś trzydzieści kilometrów, ale ze względu na chmury oczywiście nie było go widać. Zafascynowali nas jednak tragarze niosący materiały na jakąś budowę. Jeden z nich dźwigał na plecach dechy i krokwie ważące ponoć sto dwadzieścia pięć kilogramów. Okazało się, że za dostarczenie ich z Lukli do Namche (dla turystów dwa dni drogi) zarobi po sto rupii za kilogram, czyli łącznie sto pięćdziesiąt sześć dolarów. Jak na warunki nepalskie może i nieźle, ale praca mordercza,



Objuczone zwierzę ma zawsze pierwszeństwo!
To jeszcze nie jaki, tylko dzopkyo (jako-krowy).



a kolana i kręgosłup zapewne do szybkiej kasacji. Teraz i tak przynajmniej buty mają chłopaki lepsze, bo pamiętam, że jeszcze kilka lat temu większość zasuwiała w japonkach, kaloszach czy rozdeptanych tenisówkach. Najbardziej zaskakujące jest ich tempo. Turyści chodzą zwykle „na lekko”, a i tak większość zostaje w tyle, za tragarzami. Inna sprawa, że ze względu na przystosowywanie do dużej wysokości nie ma się co spieszyć. Kto pójdzie za szybko, potem ma problemy. Przy aklimatyzacji wszystko ma być *kole, kole*, co w języku Szerpów znaczy „powoli, powoli”.

My zrozumieliśmy te zalecenia bardzo dosłownie i zrobiliśmy po drodze dwie przerwy kawiarniane. Jedna wypadła jeszcze w dolinie, gdzie zafundowaliśmy sobie po herbatce z imbirem. O drugiej zdecydowaliśmy spontanicznie już prawie u celu, kiedy przechodząc przez centrum Namche Bazar, doleciał do nas aromatyczno-słodki zapach, no i jakoś nie dało się nie skusić. Rezultat: pyszna kawa (jedna z włoskich

Dla większości turystów wszystkie obładowane rogate zwierzęta spotykane w Nepalu na himalajskich szlakach to jaki. A tymczasem prawdziwe jaki (łac. *Bos grunniens* oraz *Bos mutus*) możemy spotkać na wysokościach od mniej więcej 3500 metrów (w praktyce oznacza to miejscowość Namche Bazar) do nawet 6000 metrów. Niżej jest dla nich za gorąco – w temperaturze przekraczającej piętnaście stopni Celsjusza przegrzewają się i padają. Zwierzęta spotykane niżej to krzyżówka jaka i krowy. Ich angielska nazwa *yakow* (od połączenia słów *yak* i *cow*) nie za bardzo się przyjmuje, tym bardziej że miejscowi i tak wolą swoje określenia, czyli w przypadku samców *dzopkyo*, ewentualnie *dzo*, *dzho*, *zho*, podczas gdy samice to *dzom*, *dzomo*, *zom*, *zhom*. Na prawdziwe jaki miejscowi stosują różne nazwy w zależności od płci. Samiec to jak, samica to nak. Turystom zwykle wszystko jedno. Na pierwszy rzut oka jak i nak wyglądają tak samo, tym bardziej że samica również ma rogi. Wprawne oko dostrzeże jednak, że jest mniejsza, inaczej się też zachowuje. Pojedyncze osobniki pasące się gdzieś na uboczu to zawsze naki*.

Jaki występują nie tylko w Nepalu – spotkać je można także w wysokogórskich rejonach Indii, Mongolii, Rosji, Bhutanu czy Chin i Tybetu. Występują zarówno w stanie dzikim, jak i udomowionym (mniejsze od dzikich kuzynów, które mogą mieć nawet dwa metry w kłębie i ważyć tonę). Zwierzęta spotykane na nepalskich szlakach mają swoich właścicieli – są dla miejscowych bardzo cenne, bo służą jako środek transportu, a przy okazji zapewniają też pracę w charakterze *yak driver'ów*, czyli „kierowców jaka”, dają mięso (w lokalnych restauracjach można spróbować steku z jaka), mleko (robi się z niego całkiem dobry ser), natomiast z sierści zwierząt przede się wyjątkowo ciepłą wełnę.

*) W książce uproszczę trochę ten temat: niezależnie od płci oraz w przypadku jucznych rogaczy z niższych wysokości będą stosowała tylko nazwę „jak”.



■ Jak najbardziej klasyczny jak.

Wykorzystuje się również rogi jaka (choćby do wyrobu etnicznej biżuterii), a także... odchody (po wysuszeniu służą do palenia w piecach).

W przeciwieństwie do normalnego bydła jaki nie muczają, ale chrząkają. Ich sierść jest brązowa lub czarna, chociaż w wersji udomowionej może być też biała. Udomowione żyją około dwudziestu–dwudziestu pięciu lat.

Po trwającej blisko dwieście siedemdziesiąt dni ciąży, samica rodzi jedno młode, które już dziesięć minut po przyjściu na świat jest w stanie utrzymać się na nogach i wrócić samodzielnie do stada. Jaki jedzą trawę, porosty i inne rośliny, przy czym karmi się je mniejszą ilością paszy niż bydło domowe z niższych wysokości (jak potrzebuje tylko tyle paszy na dobę, ile stanowi 1% masy jego ciała, krowa – 3%). Jaki zaaklimatyzowane do wyższych wysokości mają większe płuca i serce (lepsze dotlenienie

organizmu) niż bydło nizinne. Wyjątkowo ciepła sierść i gruba warstwa podskórnego tłuszczu pomagają w przystosowaniu do niskich temperatur. Co ciekawe, jaki nie mają gruczołów potowych.

Ile kosztuje udomowiony jak? Ceny zaczynają się od kilkunastu tysięcy rupii za młodego zwierzęcia. Za dobrego, silnego osobnika mogącego nosić ładunki, trzeba liczyć około czterdziestu tysięcy rupii (czterysta dolarów).



■ Zmęczony tragarz.

firm kawowych zafundowała miejscowym kawiarniom porządne ekspresy do kawy) i do tego równie pyszne ciacho. A co tam! To ostatnie miejsce na trasie, gdzie są puby i knajpki w stylu zachodnim. Teraz rwiemy się w góry, ale pewnie wkrótce będziemy za taką cywilizacją tęsknić.

Namche to całkiem spora „metropolia” (trzy i pół tysiąca mieszkańców), bądź co bądź stolica Szerpów. W każdą sobotę odbywa się tu wielki targ, na który ściągają ludzie z okolicznych wiosek. W pozostałe dni w miasteczku królują turyści, bo wszystkie grupy trekkingowe i ekspedycje wspinaczkowe nie mają innego wyjścia i muszą tędy przejść. Centrum to dwie ulice na krzyż ze sklepami, knajpkami i kafejkami internetowymi. Wszędzie komercja, ale Namche da się lubić, może dlatego, że tutaj już odczuwa się atmosferę gór. Domy wbudowane są w zbocze przypominające naturalny amfiteatr, naprzeciwko wznoszą się ośnieżone szczyty, zewsząd dobiega dźwięk dzwonek – znak, że główną ulicą zmierza kolejna karawana jaków. W tym miejscu większość osób zaczyna już odczuwać ból głowy, a niektórzy mogą mieć nawet poważne problemy z aklimatyzacją.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

Znany i tajemniczy...

Oto historia wyprawy na najwyższą górę świata. To książka nie tylko o trudach wspinania, ale o tym, jaki jest naprawdę himalajski gigant. Dziś niektórzy twierdzą, że na Everest może wejść każdy. Podobno droga na szczyt jest prosta (co roku przecież organizowane są komercyjne wyprawy na Górę Gór). Skoro jednak jest tak łatwo, dlaczego wielu wspinaczy rezygnuje? Dlaczego niektórzy giną w drodze?

O żadnym innym szczycie nie krąży tyle fantastycznych opowieści. W czasie wyprawy autorka miała szansę sprawdzić, co jest prawdą, a co mitem. W książce, którą oddajemy do rąk Czytelników, znajdują się m.in. odpowiedzi na poniższe pytania:

- Dlaczego Góra Gór nazywa się Everest i dlaczego na mapach różnie podaje się jej wysokość?
- Jak wygląda najwyższa góra świata 60 lat po jej pierwszym zdobyciu i jak przebiegały te pierwsze wyprawy?
- Kim są współcześni wspinacze? Co każe im wydawać dziesiątki tysięcy dolarów na wyprawę, w czasie której ryzykują zdrowie i życie?
- Dlaczego wyprawa na Everest trwa prawie dwa miesiące i nawet jeśli wchodzi się z butlą z tlenem, zdobycie Góry Gór nie jest łatwe?

Zapraszamy do lektury!

PATRONI MEDIALNI:

PODRÓŻE

mpm MAGAZYN
TURYSTYKI
GÓRSKIEJ

GÓRY górski
magazyn
sportowy
www.GORTonline.com

G agazyn
Górski

Nr katalogowy: 15472



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

B **Bezdroża**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-246-8510-3



9 788324 685103